

TYLKO MILCZENIE MOŻE CIĘ OCALIĆ

GRAHAM MASTERTON

ŚWIST UMARŁYCH

Thriller
z Katie
Maguire

ALBATROS

Rozdział 1

O'Reganowie właśnie jedli śniadanie, kiedy rozległo się niecierpliwe dzwonienie do drzwi.

– Ktoś do nas, tato! – powiedziała trzyletnia Grainne z buzią umazaną owsianką.

Kieran popatrzył na żonę, która stała przy kuchence, smażąc placki ziemniaczane. Zrobiła okrągłe oczy i odłożyła szpatułkę, bo dzwonek powtarzał się coraz bardziej natarczywie.

– Mam otworzyć? – spytał pięcioletni Riordan, zsuwając się z krzesła.

Dzwonienie nie ustawało, a po chwili zaczęło się też walenie pięścią w drzwi. Kieran położył dłoń na ramieniu syna i przytrzymał go.

– Nie, nie, ja pójdę. Ktokolwiek to jest, musi być czymś strasznie wkurzony.

– Kieran... – odezwała się Moira, zestawiając patelnię z ognia.

Była ósma rano. W kuchni panował półmrok. Po okiennej szybie spływały wielkie krople deszczu.

– Nie martw się, to pewnie tylko stary Roddy. Znów będzie marudził, że dzieciaki bawiły się na ulicy i powgniatały mu karoserię. Myśli, że jak jestem gliniarzem, to powi-

nieniem czuwać nad wszystkimi w sąsiedztwie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Kieran – powtórzyła Moira, tym razem głośniejszym głosem, by przekrzyczeć dzwonek i łomotanie.

Mała Grainne, nie wypuszczając z dłoni łyżki ze skapującą owsianką, zakryła sobie uszy.

– Bez obaw, kochanie – uspokoił żonę Kieran, co miało jej przypomnieć, że trzyma pistolet w kieszeni grubej kurtki wiszącej przy wejściu.

Zaledwie jednak wyszedł na korytarz, rozległy się potężny stukot i trzask, a kopnięte drzwi frontowe stały się otworem. Do środka wpadli trzej przemoczeni od deszczu mężczyźni. Mieli na sobie zakrywające twarze kominiarki, skórzane kurtki i dzinsy. Ten z przodu trzymał obrzyn.

Kieran zrobił dwa chwiejne kroki, cofając się do kuchni. Próbował zatrzasknąć drzwi, ale pierwszy napastnik kopnął je mocno buciorem i uniósł broń; lufa znalazła się ledwie trzydzieści centymetrów od twarzy Kierana.

– Cokolwiek kombinujesz, szefie, daj sobie spokój – wycedził bandyta niskim, ochrypłym głosem. – Chyba że chcesz, żeby twoje smarki żarły mózg tatusia na śniadanie.

Grainne upuściła łyżkę i zaczęła przenikliwie piszczeć, a jej brat rozplakał się i nerwowo szarpał przód swojego swetra. Pobladła Moira zrobiła krok naprzód.

– Wyoście się z naszego domu! Wynocha! – krzyknęła.

– Każ się małej przymknąć albo sam ją uciszę – odparował facet.

– Nie waż się tknąć moich dzieci – powiedział Kieran. – Nie wiem, czego chcecie, ale ładujecie się w gorsze gówno, niż wam się śniło. Wynocha stąd.

– O, przecież nie wyjdziemy bez tego, po co przyszliśmy. – Napastnik nadal celował z obrzyna w twarz Kierana. – I niech ta gówniara przestanie się tak drzeć, do cholery, do-

brze?

Grainne wrzeszczała dalej. Była czerwona na buzi jak piwonია. Łzy spływały jej po policzkach. Moira rzuciła się, żeby wziąć córkę na ręce, ale mężczyzna był szybszy. Ominął Kierana, przełożył broń do lewej ręki i trzepnął małą tak mocno w bok głowy, że dziewczynka spadła z krzeselka na podłogę. Zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej.

Kieran złapał napastnika za rękę i próbował wyrwać mu obrzyn, lecz tamten nie puścił broni i z ogłuszającym hukiem wypalił w sufit. Posypał się na nich tynk, a kiedy opadł niczym płatki śniegu, w powietrzu przez chwilę snuł się szary obłoczek gryzącego w płucach dymu. Kieran zamachnęła się na mężczyznę, ale jego pięść ześlizgnęła się tylko tamtemu po ramieniu. Zanim zdołał uderzyć znowu, dopadli go dwaj pozostali i chwycili za ręce. Kieran, choć niski, był barczysty i krzepki, jednak przeciwnicy byli o wiele potężniejsi i silniejsi. W ich oddechach czuł kwaśny odór papierosów i alkoholu.

– Dobra, dość już tej cholernej szarpaniny – powiedział ten z bronią. – Idziesz z nami. Przejedziemy się trochę za miasto, żeby można było spokojnie pogadać.

Kieran próbował wyrwać się jego towarzyszom, wierzgał jak koń, lecz trzymali za mocno; o mało nie wywichnęli mu prawego barku. Ciężko dysząc, skrzywiony z bólu, popatrzył w piwne oczy mężczyzny z obrzytnem.

– Poznaję cię. Jestem pewien, że cię znam. Gdybyś miał dość jaj, żeby ściągnąć to z gęby, przypomniałbym sobie twoje nazwisko. Jestem tego pewien.

Facet wyszczerzył zęby.

– Możliwe, szefie. Ale nie chodzi o mnie, co nie? Tylko o ciebie i ten cholerny bałagan, którego narobiłeś. Czemu więc nie pójdziesz z nami grzecznie? Rozumiesz, co mam na myśli, no nie? Musimy wyjaśnić sobie kilka spraw.

– Dokąd go zabieracie? – zaoponowała dzielnie Moira,

choć głos jej drżał.

Trzymała teraz córkę na rękach i kołysała ją lekko, żeby ją uspokoić. Riordan z buzią w podkówkę stał obok, uczepiony fartucha matki.

– Nie zrobicie mu nic złego, co?

– Nie marudź, dziewczyno – odparł ten z obrzytnem. – Chcemy zabrać twojego staruszka tam, gdzie martwa cisza i da się pogadać o tym i owym spokojnie, bez tych wrzasków. Powiem ci tylko, że nie byłoby dobrze dzwonić na policję czy coś w tym rodzaju. Będziemy wiedzieli, jeśli to zrobisz, a konsekwencje dla twojego staruszka... no, mogłyby być tragiczne.

– Proszę, nie róbcie mu nic złego. – Oczy Moiry były pełne łez. – To dobry człowiek. Najlepszy. Nie chcielibyście chyba, żeby te biedne maluszki dorastały bez ojca, prawda?

– W porządku, Moira – odezwał się Kieran. – Ci faceci wyraźnie mają o coś żal, ale na pewno dojdziemy do porozumienia. Zostań tu i staraj się nie denerwować, dobrze? Wrócę, kiedy tylko wszystko sobie wyjaśnimy. Rób, co on każe. Nie zgłaszaj tego. W ogóle do nikogo nie dzwoń. Kocham cię. I ciebie też, Riordan. I ciebie Grainne, skarbie.

– Dość już tych sentymentalnych bredni – przerwał mu ten z bronią. – Bo chyba zaraz się porzygam. Idziemy.

Kieran nie stawiał oporu, kiedy wyprowadzali go przez wyłamane drzwi na deszcz. Z tego miejsca na St Christopher's Road, w północnej części Cork, widział czarne burzowe chmury nadciągające szybko od wzgórz po drugiej stronie rzeki Lee. Pomyślał, że przypominają horde nadlatujących czarownic w poszarpanych płaszczach targanych przez wiatr.

Kiedy prowadzili go do srebrnego mercedesa sedana, ugięły się pod nim nogi. Gdyby nie podtrzymywali go pod ramiona, pewnie by upadł. Choć starał się dodać otuchy żonie, jeszcze nigdy w życiu nie był tak przerażony jak te-

raz. Nawet kiedy postrzelono go podczas napadu na bank, a tuż obok niego zginął drugi funkcjonariusz. Musiał ścisnąć mięśnie, żeby panować nad pęcherzem. Czuł, że zaraz może zmoczyć dżinsy.

Mężczyźni otworzyli tylne drzwi auta i wepchnęli go do środka. Kierowca czekał, paląc papierosa. Jego twarz była zakryta czarną kominiarką. Facet z bronią siadł z przodu, dwaj pozostali z tyłu, po bokach Kierana.

Kierowca sięgnął do skrytki i wyjął z niej kajdanki, jakich używano w Garda Síochána. Podał je typowi z obrzynem, a on przekazał mężczyźnie siedzącemu po prawej ręce Kierana.

– To dla zdrowia i bezpieczeństwa – rzucił. – Naszego, nie twojego, ma się rozumieć.

Jego kumpel zatrzaskał Kieranowi kajdanki na nadgarstkach i pociągnął nosem.

– Dobra, to dokąd jedziemy? – spytał Kieran, siląc się na dziarski ton, gdy mercedes ruszył od krawężnika i skręcili w prawo w Murmont Lawn, w kierunku Ballyvolane.

– Jak ci mówiłem, szefie, tam gdzie martwa cisza – burknął mężczyzna z bronią.

Teraz obrzyn leżał na jego kolanach i Kieran miał ponure przeczucie, że ten człowiek wyszedł dziś rano z domu zdecydowany go użyć.

– O co w tym wszystkim chodzi? – naciskał.

Jechali na północ Ballyhooly Road, deszcz siekł jeszcze mocniej. Chodzące z maksymalną szybkością wycieraczki ledwie nadażały.

Domyślał się, czemu go porwali i kim są, ale nie miał zamiaru im tego mówić. Niech sami powiedzą i przyznają, o co im chodzi.

Facet siedzący z lewej głośno kichnął i otarł nos wierzchem dłoni. Ten z przodu się nie obejrzał, ale powiedział:

– Na litość boską, Hoggy! Chcesz nas wszystkich wpę-

dział do grobu czy co?

Kierowca i ten, co siedział z tyłu po prawej, zarechotali i pokręcili głowami. Kieran zamknął oczy i pomyślał: Muszę się tylko skoncentrować. Może to wszystko nie dzieje się naprawdę, wcale nie jestem w tym aucie, ale w domu i jem placki z Moirą, Riordanem i Grainne. Kiedy jednak uniósł powieki, mijali właśnie centrum handlowe Dunnes na Ballyvolane, wycieraczki nadal chodziły jak szalone, a on tkwił uwięziony w mercedesie w obstawie tych czterech cuchnących obwiesi. Poza nimi pewnie jeden Bóg wie, dokąd go wiozą i co zamierzają z nim zrobić, kiedy tam dotrą.

– Oglądałeś wczoraj wieczorem mecz kwalifikacyjny? – spytał ten z prawej. – Coen dał dupy. Gdyby nie tamten pieprzony wolny, Connolly nigdy by nie wyrównał.

– O, to tylko głupia wpadka – odezwał się ten z bronią. – Dziś w rozgrywkach krajowych liczy się psychika. Jeszcze zobaczycie. Coen będzie gwiazdą, jak się rozpędzi.

Porywają mnie, pomyślał Kieran. Porywają mnie, a gadają o piłce. Z jakiegoś powodu przepełniło go to jeszcze większym przerażeniem. Bardziej obchodził ich oglądany wczoraj w telewizji mecz niż jego życie.

Przejechali Upper Dublin Hill, a przy Kilcool skręcili w lewo w wąską dróżkę pomiędzy żywopłotami. Minęli kilka ładnych willi i dotarli do pustego parkingu przy długim szarym murze. Kieran dostrzegł za nim krzyże i rzeźby aniołów. Wiedział już, gdzie go przywieźli. Facet z bronią idealnie opisał to miejsce. Panowała tu „martwa cisza”. To był cmentarz Świętej Katarzyny w Kilcully.

Kierowca zaparkował tyłem obok bramy i wysiedli. Choć nadal wiał zimny wiatr, deszcz nagle zelżał. Pomiędzy chmurami ukazywały się prześwity nieba.

– No to chodźmy złożyć uszanowanie – powiedział ten z bronią.

Nikogo nie było widać, więc nie ukrywał obrzyna. Oparł

go sobie nonszalancko o ramię. Hoggy, ten kichający, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego sporą szarą torbę. Była mniej więcej wielkości bagażu podręcznego do samolotu, ale zanim Kieran mógł się jej przyjrzeć dokładnie, ten drugi chwycił go za ramię i popchnął do niewielkiej bocznej furtki cmentarza z czarnych złożonych sztachet.

Była zamknięta, ale ten z bronią trzy razy mocno ją kopnął i zasuwą puściła. Ruszył przodem i poprowadził ich asfaltową aleją pomiędzy płytami nagrobnymi i rzeźbami. Nikt nic nie mówił. Poza szelestem poruszanych wiatrem liści drzew na cmentarzu panowała cisza. Krzaki i klomby były zadbane. W oddali Kieran widział zielone wzgórza Ballynahiny. Ten panujący dokoła spokój tylko pogłębiał jego strach i Kieran znów się zachwiał.

– Nie najadłeś się jak trzeba na śniadanie czy co, szefie?
– spytał ten z bronią.

Doszli do miejsca przy końcu cmentarza. Osłoniętej ciśmami przestrzeni strzegły stojące w rogach posągi aniołów – trzy miały głowy opuszczone, czwarty spoglądał w niebo na pędzące chmury. Pomiędzy dwoma była metalowa ławeczka.

– To tu – odezwał się facet z bronią. – Usiądźmy i pogadajmy, dobrze?

– Nie mam wam nic do powiedzenia – zaoponował Kieran. – Myślę, że wiem, kim jesteście, a jeśli to prawda, nie zamierzam nic mówić.

– Siadaj, do cholery!

– Ile razy mam powtarzać? Nie mam nic do powiedzenia.

Facet z bronią dał znak kumpłowi, który przytrzymał Kierana, i ten popchnął go na ławkę, zmuszając, by usiadł. Była nadal mokra po deszczu, co Kieran poczuł przez dżinsy.

– Wiesz, kto tu jest pochowany? – spytał mężczyzna z obrzytnem. – W tym grobie z aniołem patrzącym w niebo?

Kieran uparcie milczał.

– Billy Ó Canainn – rzucił mężczyzna. – A sam wiesz najlepiej, kto odpowiada za jego przedwczesną śmierć, prawda?

– Co mam ci powiedzieć? – mruknął Kieran. – Nie będę udawał, że go nie znałem, ale nie miałem nic wspólnego z tym, że zginął. Sam był sobie winien.

– Tak sądzisz? Ale to ty na niego doniosłeś, co nie? A wystarczyło udawać, że go nie widziałeś. Gdyby nie ty, łebku, nasz Billy nadal by chodził, gadał i pił w Gerald Griffin.

– Może by chodził i gadał, ale raczej by nie pił. Tłukłby się po celi na Rathmore Road, gdzie zresztą było jego miejsce.

Hoggy stał tuż za nim. Kieran zorientował się, że tamten kładzie torbę na ziemi i rozpina ją. Obejrzał się lekko, ale nadal nie mógł dostrzec, co jest w środku.

– Żyj i daj żyć innym, słyszałeś takie powiedzenie, prawda? – odezwał się ten z bronią. – Dlaczego nie trzymałeś się tego w przypadku Billy’ego? Kto dał ci pieprzone prawo, by go osądzać i wydawać na niego wyrok śmierci? Miał żonę i piątkę dzieciaków, którymi powinien się opiekować. A teraz leży tu, pod aniołem, i nikomu już nie pomoże. A wszystko przez ciebie.

– Nic nie powiem – oświadczył Kieran. – Osobiście nie miałem nic przeciwko Billy’emu Ó Canainnowi. Robiłem tylko to, co do mnie należy. To moja praca.

– Lepiej już było zostać muzykiem, a nie pieprzonym gliną – warknął ten ze spluwą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął błyszczący niklowany flet irlandzki, długi na niemal sześćdziesiąt centymetrów. Pokazał go Kieranowi.

– Proszę, to twoja specjalność, prawda? Dmuchanie w gwizdek, podnoszenie alarmu – powiedział. – Może teraz nam coś zaświstasz? *Płynące żagle* albo jakiś fajny taneczny kawałek, jak *Kropelka brandy*?

Kieran popatrzył na flet, a potem w oczy mężczyzny. Mil-

czał. Nie tylko nie wiedział, co powiedzieć, ale też wargi miał jak z drewna. Nawet gdyby umiał grać, nie byłby w stanie. Zdawał sobie sprawę, że to wszystko prowadzi do czegoś potwornego. Ledwie mógł oddychać.

– Nie chcesz więc nam zagrać, co? – spytał gość z bronią. – To niezbyt ładnie z twojej strony, prawda? Czymś cię uraziłem? Z tego, co słyszałem, dmuchałeś w gwizdek ile sił w płucach, zwłaszcza do ucha szefa wydziału wewnętrznego O'Malleya.

Teraz już Kieran był niemal pewien, kim jest ten mężczyzna. Musiał być gliną, inaczej nie znałby nazwiska kierującego regionalnym biurem ujawniania nieprawidłowości. Mimo to Kieran nie miał odwagi zwrócić się do niego po imieniu. Bał się, że wtedy tamten natychmiast użyje broni, by uciszyć go raz na zawsze.

– Hm... jeśli nie chcesz nam poświstać po dobroci, zobaczymy, czy uda się nam wydobyć to z ciebie jakoś inaczej – powiedział tamten. – Patrick, może przytrzymałbyś naszego przyjaciela, a Hoggy obsłuży go jak należy?

Patrick usiadł na ławce po prawej stronie Kierana. Objął go lewą ręką za ramiona i przyciągnął mocno do siebie. Kieran obejrzał się na niego, ale był tak blisko, że nie mógł ogarnąć go wzrokiem; widział tylko te jego przekrwione oczy zza kominiarki i krzywy uśmiezek, w którym brakowało czterech przednich zębów.

– W porządku? – zapytał go Patrick i mrugnął.

Miał tak cuchnący oddech, że Kieran musiał obrócić głowę.

I wtedy usłyszał, jak tuż za nim Hoggy uruchamia piłę łańcuchową. Za pierwszym razem się nie udało, pociągał cztery, może pięć razy. Kiedy wreszcie zaskoczyła, ryknęła jak silnik motocykla podkręcany niecierpliwie przy czerwonym świetle.

Kieran szarpnął się w bok, próbując wstać, ale Patrick ści-

snął go jeszcze mocniej i złapał za krótkie kręcone włosy.

– Puszczaj, bydlaku! – wrzasnął Kieran, przekrzykując warkot pilarki. Starał się uwolnić głowę, ale Patrick kurczowo trzymał go za włosy, wpijając paznokcie w jego skórę.

Facet z obrzynek podszedł i zrobił znak krzyża, jakby udzielał mu błogosławieństwa.

– Zastrzel mnie! – krzyknął Kieran. – Jeśli macie mnie zabić, to zastrzel mnie, do cholery!

– Zrobiłbym to, ale ta broń nie jest nawet nabita. – Mężczyzna pomachał uniesioną lufą. – A poza tym nie mam zamiaru się nad tobą litować.

Cofnął się i unosząc kciuk, dał znak Hoggy’emu.

Kieran znów zaczął krzyczeć, ale tym razem był to tylko nieartykułowany przeraźliwy wrzask, który nie ustawał, dopóki zęby piły nie wżarły się w tył jego szyi, rozrywając kołnierz dżinsowej koszuli na strzępy. Rozbryzgi krwi i tkanki poleciały na oparcie ławki. Potem ostrza trafiły na kręgi i przez ułamek sekundy słyszeć było coś jakby chrupnięcie.

Gdy piła przecięła krtań, Patrick podniósł głowę Kierana. Z szyi tryskała krew, lejąc się na ramiona i przód koszuli.

– Cholera, ale zapaskudziłem sobie kurtkę! – prychnął. – Wygląda tak, jakbym cały dzień pracował w rzeźni!

– Nie zatrudniliby cię tam, chłopie – stwierdził ten z bronią. – Chcą mieć facetów, którzy potrafią zabijać krowy i owce, nie takich padalców.

Patrick trzymał kapiącą krwią głowę Kierana. Patrzyła prosto na mężczyznę z obrzynek. Oczy Kierana były otwarte, podobnie jak usta, ale w twarzy malowało się bardziej zdumienie niż ból. Patrick obrócił trofeum, by mu się przyjrzeć.

– Robi wrażenie zaskoczonego, nie? Ale ogólnie nie zniósł tego najgorzej, nie sądzicie?

Tymczasem Hoggy wyłączył pilę i zaczął ją pakować z powrotem do torby.

– Poszło o wiele łatwiej, niż myślałem – skwitował, znów wycierając nos wierzchem dłoni. – Nie rozumiem, czemu ci z Isis nie używali pił zamiast noży. Są o wiele bardziej skuteczne, co nie?

– Tak, pewnie, problem w tym, że ten nasz gość prawie nic nie czuł. Myślę, że powinien odcierpieć za to, co zrobił. Ale przynajmniej bliscy nie będą mogli pochować go w jednym kawałku, więc pocierpią za niego. Nie zapomniałeś torby na głowę?

Hoggy wyciągnął z kieszeni kurtki plastikową reklamówkę Tesco. Patrick wrzucił do niej głowę Kierana i zakręcił torbą, by zawiązać górę, tak jakby pakował ziemniaki w wazywniaku.

– Dobra, zmywamy się, zanim nadciągną tu jakieś rodzinki odwiedzające groby – powiedział ten z obrzynek. – Hoggy, kajdanki. Nie chcemy przecież zostawiać śladów, prawda?

Hoggy odpiął kajdanki i wsunął je do kieszeni. Ten z bronią odłożył obrzyn na ławkę obok pozbawionego głowy ciała Kierana, po czym starannie upchał flet do tchawicy zabitego, tak że wystawało z niej zaledwie z siedemnaście centymetrów.

– Masz, szefie – powiedział. – Teraz możesz sobie siedzieć, świstać, ile dusza zapragnie, i nikt nie będzie się o to wściekał.

Rozdział 2

– To się pani spodoba – powiedział detektyw Markey, otwierając przed Katie drzwi jej samochodu.

– Naprawdę sądzisz, że powinnam zobaczyć to osobiście? – spytała, zapinając suwak ciemnozielonej parki, po czym podniosła czarny kołnierz ze sztucznego futra.

Dopiero co wyszła z ciężkiego przeziębienia i gdyby Markey tak bardzo nie nalegał, wołałaby zostać w biurze, gdzie było ciepło.

– No, to dość niezwykły przypadek, cała ta scena, a on to w końcu celebryta, myślę więc, że media będą bombardować panią pytaniami. Jakie mogły być motywy i tak dalej.

Na stromym podjeździe domu w Woodhill Park w Tivoli stały trzy radiowozy i dwie furgonetki z wydziału technicznego, a także karetka. Dolna część drogi została zamknięta od strony Lover's Walk.

Dom, z oknami w stylu art déco, pomalowany na biało i kryty szarą dachówką, był ogromny. Otoczony klombami i krzewami na działce o powierzchni co najmniej dwóch tysięcy metrów kwadratowych, miał z boku szerokie patio z widokiem na płynącą w dole rzekę Lee. Przed garażem na dwa samochody stał czerwony bentley continental GT, usiany kropkami deszczu.

– Wie pani, ile takie kosztują? – spytał detektyw Markey, gdy obchodzili bentleya w drodze do frontowego wejścia. –

Ćwierć miliona, lekko.

– O, tylko tyle, Nick? – rzuciła Katie. – W takim razie zamówię sobie dwa.

Przed szerokimi dębowymi drzwiami stała detektyw sierżant Kyna Ni Nuallán. Rozmawiała z detektywem Patrickiem O'Donovanem. Jej krótkie blond włosy zakrywała robiona na drutach zielona czapka. Miała na sobie workową fioletową pelerynę i botki do kolan. W tym stroju jeszcze bardziej przypominała *aos sí*, baśniowego elfa. O'Donovan był nieogolony i potargany, jakby zjawił się tu wyrwany prosto z pościeli.

Gdy Katie się zbliżyła, Kyna obejrzała się na nią i wzrokiem powiedziała jej wszystko to, czego nie chciała mówić na głos. Nie widziały się od dwóch tygodni, bo Kyna była w komendzie głównej w Dublinie na szkoleniu Evo-FIT. *Jak się masz? Brakowało mi ciebie.*

W odpowiedzi Katie zamknęła na moment oczy, by dać jej znać, że rozumie, co Kyna chce przekazać.

– I co tu mamy? – spytała. – Myślałabym, że Jimmy Ó Faoláin to ostatni człowiek, którego ktoś mógłby chcieć wysłać na zielone łąki Pana.

– Racja, pani inspektor – powiedziała Kyna. – Dzian, urządzał non stop przyjęcia i był najlepszym przyjacielem wszystkich. Żywa legenda.

– Może ma to jakiś związek ze stowarzyszeniem sportowym GAA – zasugerował detektyw O'Donovan. – Był prezesem Rachmasach Rovers, prawda? Poza tym przewodniczył pewnie tysiącom innych organizacji, fundacji charytatywnych i Bóg wie jeszcze czemu.

– I co z tego? – rzuciła Katie.

– Nie słyszałaś? Ostatnio mówiono, że Roversi odpuszczają mecze, bo to są ustawki.

– Po co mieliby coś takiego robić? Sądziłam, że w tym roku chcą znaleźć się w czołówce ligi.

– Nie mam zielonego pojęcia. Hurling to dla mnie czarna magia.

W tej chwili z domu wyszedł Bill Phinner, szef zespołu techników, ściągając z głowy kaptur białego kombinezonu ochronnego. Wyglądał jeszcze żałośniej niż zwykle. Katie wiedziała, że właśnie rzucił palenie, nawet papierosów elektronicznych, co niespecjalnie mu służyło przy jego skłonnościach do pesymizmu. Bill Phinner wierzył, że w sprzyjających okolicznościach prawie każdy w Cork byłby zdolny popełnić jakąś zbrodnię, a kiedy tak się działo, to jego ponurym obowiązkiem było znalezienie dowodów winy, by postawić sprawcę przed sądem.

– Jak ci leci, Bill? – zagadnęła go Katie.

– Możesz już wejść i sama rzucić okiem – odparł. – Jak na razie udało się nam znaleźć tylko jeden pocisk, który poszedł rykoszetem. Poza tym nie mamy żadnego dowodu rzeczowego, czegokolwiek, choć, oczywiście, dostaniemy resztę pocisków do przebadania, kiedy patolog je dla nas wyłuska. Brak śladów włamania. Żadnych śladów butów na podłodze, choć rano było bardzo mokro. Sprawdzamy, ale nie mam wielkich nadziei. Nie było też łusek. Ten, kto strzelał, musiał je pozbierać.

– Jakież ślady walki?

Bill pokręcił głową.

– Zobaczysz czemu, jak wejdiesz.

– Mamy iPhone’a Jimmy’ego – wtrąciła Kyna. – Otwiera się, rozpoznając twarz, więc nie będzie kłopotu ze sprawdzeniem go. Zabierzemy też komputery, księgi rachunkowe i wyślemy do przejrzenia naszym ekspertom.

– To zajmie nieco czasu – dorzucił O’Donovan. – Ten gość miał chyba dwa razy więcej ksiąg niż biblioteka Watykanu. Tylko że te jego dotyczą wyłącznie spraw finansowych, nie pism świętych.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła Katie. – Niewiele

wiem o Jimmym Ó Faoláinie, ale najwyraźniej dla niego zawsze liczyła się przede wszystkim kasa, Bóg był na drugim miejscu.

– Spotkałam go raz na kolacji charytatywnej w Dublinie – powiedziała Kyna. – Prawdziwy złotousty, mówię wam. Gdyby nie był finansistą, mógłby zrobić karierę jako hipnotyzer. Sama prawie się w nim zakochałam.

Katie uniosła lekko brwi, ale nie odezwała się. Tylko ona wiedziała, jak wątpliwe było, żeby Kynie wpadł w oko jakiś mężczyzna.

– Kto zgłosił, że on nie żyje? – spytała po chwili.

– Jego najnowsza dziewczyna – odparł O'Donovan. – Stewardesa Ryanaira, Viona Caffrey. Jimmy dał jej klucze, bo ona wraca o różnych porach, a on często bywa poza domem, jest na jakichś konferencjach i tak dalej. Przyjechała tu prosto z lotniska mniej więcej o dziesiątej czterdzieści pięć i wtedy go znalazła.

– Gdzie jest teraz?

– Jeszcze tutaj. W gabinecie z funkcjonariuszką Malone. Powiedziała, że zostanie tu, póki go nie zabiorą.

– Pogadam z nią za chwilę – zdecydowała Katie. – Na razie skupmy się na naszym nieszczęsnym przyjacielu.

Wyjęła z kieszeni kurtki ochraniacze na buty i założyła je. Wciągnęła też czarne laboratoryjne rękawiczki – na wszelki wypadek, gdyby musiała czegoś dotknąć. Potem weszła za Billem Phinnerem do środka.

Wnętrze było urządzone luksusowo. Posadzkę w holu wyłożono beżowymi i białymi płytami z marmuru, po lewej stronie były łukowate paradne schody, poręcz na dole wieńczył mosiężny posąg nimfy o nagich piersiach. Z sufitu zwisał ogromny żyrandol – kołyszące się w przeciagu od drzwi kryształki dzwoniły lekko. Ściany były ozdobione obrazami olejnymi Waltera Osborne'a i Jamesa Jebusy Shannona. Oryginałami albo przynajmniej ich bardzo wiernymi

kopiami.

– Niech pani popatrzy. – Detektyw Markey wskazał kciukiem portret kobiety podającej kotu miseczkę mleka. – To może być warte co najmniej z osiemdziesiąt pięć tysięcy.

– Powinieneś specjalizować się w aukcjach, Nicky – wtrącił O'Donovan.

– Mój kumpel zajmował się konserwacją obrazów w Crawford Gallery – powiedział Markey. – Opowiadał mi, że niektóre obrazy wyglądały tak, jakby malarz upačkał je flakami i kaszanką, ale nie szkodzi. Nigdy nie mieli problemu, by znaleźć jakiegoś snobistycznego fiuta, który był gotów zapłacić za to tysiące.

Przeszli do salonu. Dwoje szerokich oszklonych drzwi wychodziło na patio. Parkiet lśnił. Kanapy i fotele naśladowały styl rokoko, na bocznych stolikach stały antyki: lampy, porcelanowe figurki i złożone wazony. Po przeciwnej stronie pokoju dominował duży marmurowy kominek, a nad nim wisiał ogromny pejzaż przedstawiający wybrzeże przy Old Head w Kinsale – morze ze statkami rybackimi i chmury na niebie.

Katie zauważyła, że w kominku jest sporo popiołu po spalonym drewnie.

– Nie przygotowano paleniska. Nie mówcie mi, że ten facet nie ma tu kogoś do pomocy w domu.

– Ależ oczywiście, że ma – powiedziała Kyna. – Codziennie przychodzi tu jedna Polka, by rozpalić w kominku, zmienić pościel, pomyć okna i tak dalej. Poza tym jakaś kobieta z okolicy gotuje mu w razie potrzeby. Jest i ogrodnik, pełniący też funkcję człowieka do wszystkiego.

– A gdzie byli dziś rano?

– Polka miała wolne, bo musiała iść do dentysty, a ogrodnik przychodzi tylko dwa razy w tygodniu.

– Możliwe więc, że ten, kto go zastrzelił, wiedział, że nikogo poza gospodarzem nie będzie.

– Powiedziałbym, że nasuwa się taki wniosek – odparł O'Donovan.

– Widzicie ten chiński wazon w czerwone wzory? – odezwał się Markey. – Można za niego dostać parę tysięcy, lekko.

Bill Phinner poprowadził ich do korytarza po drugiej stronie salonu. Wchodziło się z niego do kuchni. W połowie drogi były otwarte drzwi, przy których krzątało się czterech techników w białych kombinezonach. Wyglądali jak stadko bałwanów. Sprawdzali podłogę zielonym światłem lasera, robili zdjęcia z fleszem i posypywali pudrem lakier, by odkryć odciski palców.

– Hej, chłopaki, dajcie nam chwilę, dobrze? – poprosił Bill Phinner i kiedy technicy wycofali się dalej do korytarza, podszedł i zamknął drzwi. Kilka centymetrów nad środkową belką było pięć znajdujących się blisko siebie otworów po pociskach, a nieco wyżej jeszcze dwa. Do drzwi przyczepiono plakietkę z drewnianym serduszkciem, na którym był wyryty napis WYGÓDKA.

– Dopadli go na tronie – powiedział detektyw O'Donovan.

– Pewnie nawet nie wiedział, kto go zabił – dodała Kyna. – Chyba że zanim strzelili, krzyknęli, by upewnić się, że tam jest.

– No dobra, popatrzmy – rzuciła Katie.

Wyciągnęła poperfumowaną wodą Chanel chusteczkę, którą zawsze nosiła w kieszeni, i przyłożyła do twarzy. Nie chciała poczuć tego zapachu, a w dodatku zaczęło jej ciec z nosa.

Bill Phinner otworzył szeroko drzwi. Jimmy Ó Faoláin nadal siedział na sedesie, choć oparty bokiem o ścianę. Ciemnowłosy mężczyzna o włoskiej urodzie z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i silną, ale wąską brodą. Oczy były otwarte, ale już pociemniały, podbiegły krwią.

Miał na sobie jedwabną bordową górę od pizamy, z wzorkiem w lilie, i spodnie spuszczone do kostek.

Jeden pocisk trafił go pięć centymetrów nad lewym okiem, borując małą, porządną dziurkę w czole; musiał jednak rozetrwać się wewnątrz czaszki, bo włosy w tyle głowy sterczały niczym dzika korona. Kawałki krwistej tkanki mózgu rozprysły się po białych kafelkach na ścianie za nim i poprzylepiały do bładoniebieskiej fugi. Kiedy Katie przypatrywała się im, jeden spory odpadł i pacnął na posadzkę.

Phinner wskazał na trójkątny odprysk na jednej z płytek.

– Tu trafił któryś z tych wyższych strzałów – powiedział.
– Pocisk odbił się rykoszetem i jak mówiłem, znaleźliśmy go, więc dość szybko możemy ustalić kaliber. Jeśli anioły uśmiechną się do nas, pewnie poznamy też typ broni, a może nawet jej pochodzenie. A jeśli uśmiechnie się sam Pan Bóg, to możliwe, że już kiedyś jej użyto i mamy ją w swojej bazie.

Delikatnie, jakby odchyłał kotarę w teatryku kukielkowym, uniósł połę pizamy ofiary. Katie zobaczyła, że pięć pozostałych pocisków trafiło dokładnie w okolicę serca. Strużki krwi zaschły na fałdach brzucha i ciemnych kręconych włosach łonowych.

– Nieźle opalony ten wasz gościu, co? – odezwał się detektyw Markey. – Z tego, co słyszałem, lubił sobie często wyskoczyć na Karaiby. A ja nie mogę sobie nawet pozwolić na dłuższy weekend w Santa Ponsa.

– O, daj spokój! – ofuknął go O'Donovan. – Wolę już być biedny jak mysz kościelna, niż dziany leżeć w grobie. Jak sądzisz, czemu na cmentarzach nie ma sklepów?

Katie przerwała im te dywagacje, zwracając się do Phinera:

- Przypuszczalny czas śmierci, Bill?
- Sądząc po oczach i temperaturze ciała, powiedziałbym, że koło dziewiątej trzydzieści dziś rano.
- Przejdziemy od domu do domu – odezwała się Kyna. –

Choć w okolicy jest ich niewiele, a po żadnej stronie Lover's Walk nie ma kamer.

– Dobra – zgodziła się Katie. – Pogadam z dziewczyną Jimmy'ego. Zobaczymy, czy zna kogoś, komu mogłoby za-
leżeć na jego śmierci.

• • •

Viona Caffrey siedziała po jednej stronie białej ręcznie wykańczanej kanapy na przeszklonej werandzie, trzymając w dłoni wilgotną chusteczkę. Funkcjonariuszka Malone stała tuż za nią ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Wyglądała na znudzoną. Często przydzielano jej zadanie pilnowania podejrzanych kobiet, które mogłyby chcieć uciekać, bo potrafiła z nimi rozmawiać, okazać im współczucie i uspokoić je, a jednocześnie była dobrze zbudowana i silna, a w dodatku szybko biegła. Detektyw Ó Doibhilin nazywał ją „górką Knocknaskagh na nogach”, choć nie powiedziałby jej tego prosto w oczy.

Weranda miała ogrzewanie podłogowe. Stały na niej ogromne ceramiczne donice z roślinami. Powietrze było przepojone słodkim zapachem wawrzynu, stefanotisu i begonii. Idąc po wyłożonej kafelkami podłodze, Katie mimowolnie pomyślała o dwóch zasuszonych fiołkach na parapecie w swojej kuchni.

– Pani Viono, jestem nadkomisarz Maguire. Jak się pani czuje?

Viona uniosła wzrok. Miała czerwone, podpuchnięte od płaczu wielkie szafirowe oczy. Atrakcyjna dziewczyna o pociągłej twarzy, tyle że z dość wydatnym nosem. Blond włosy o popielatym odcieniu miała splecione w warkocz francuski. Wyglądała jak typowa stewardesa z reklam linii lotniczych. Nadal miała na sobie granatowy uniform Ryanaira, ale zdjęła różowy płaszcz. Leżał przewieszony przez oparcie kanapy. Katie poznała po wszywce, że to Sies Marjan. Kiedyś

przymierzyła taki w domu towarowym Brown Thomas, ale go nie kupiła. Był przydługi, a poza tym kosztował dwa tysiące czterysta dwadzieścia euro.

Popatrzyła na buty dziewczyny. Różowe szpilki z pasieczkiem nabijanym złotymi nitami. Nigdy takich nie mierzyła, ale niewątpliwie był to model Valentina Garavaniego. Przy najmniej siedemset euro.

Katie mniej więcej wiedziała, ile zarabia się w Ryanairze, domyśliła się więc, że Jimmy Ó Faoláin nie szczędził na tę dziewczynę pieniędzy.

– Będziemy musieli porozmawiać z panią na komendzie – powiedziała, siadając przy Vionie. – Ale na razie muszę spytać panią o kilka rzeczy, jeśli nie ma pani nic przeciw temu.

Viona skinęła głową.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że Jimmy nie żyje – jęknęła żałośnie. – Wie pani, wciąż wydaje mi się, że lada chwila tu wejdzie, roześmieje się i powie, że to tylko żart.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Dziewczyna wydeła usta. Z głębi piersi wyrwał się jej szloch.

– W poniedziałek rano. Spędziliśmy razem weekend. Rzadko mieliśmy taką okazję, bo on zawsze miał tyle zajęć. Pojechaliśmy do Kinsale, zjedliśmy lunch w Finns' Table... to była ulubiona restauracja Jimmy'ego... Finns' Table. Uwielbiał pieczone homary.

– A gdzie pani była od poniedziałku rano?

– Na Maladze. Poprosili mnie, żebym wzięła zastępstwo, bo jedna z dziewczyn się rozchorowała.

– Kontaktowaliście się z Jimmym w tym czasie? Jakies esemesy, maile?

– W poniedziałek wieczorem wysłaliśmy sobie esemesy. A we wtorek po południu posłałam mu wiadomość, kiedy wracam.